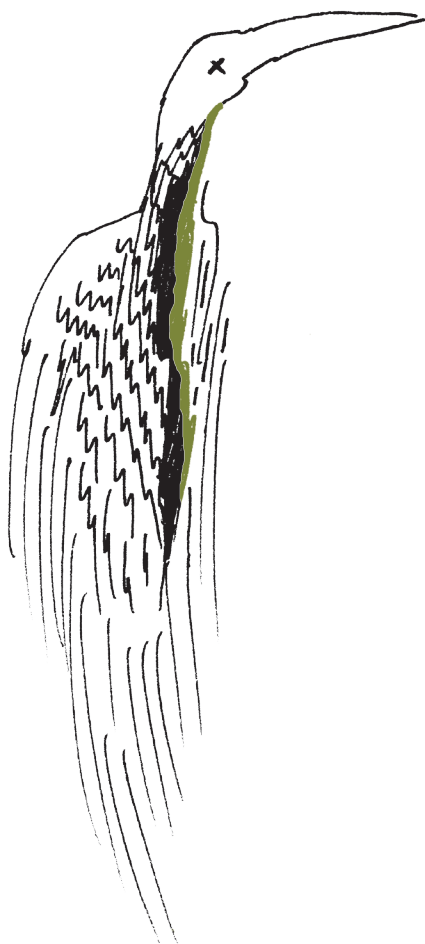


Thomas  
**Bernhard**  
Zaburzenie



CZY  
TEL  
NIK



Thomas  
**Bernhard**  
Zaburzenie

Przełożyła  
Sława Lisiecka

CZYTELNIK

Tytuł oryginału: *Verstörung*

© Insel Verlag 1967

All rights reserved by and controlled through Insel Verlag Berlin.

Projekt okładki i karty tytułowej

Agnieszka Cieślikowska

Redaktor prowadzący

Anna Rucińska

Redaktor

Anna Turzyniecka

Korektor

Małgorzata Poździk

Redaktor techniczny

Bożena Ławnicka

© Copyright for the Polish translation by

Sława Lisiecka, 2009, 2024

© Copyright for the Polish edition by

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2009, 2024

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa

Warszawa 2024. Wydanie III

Skład: Piotr Gil

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza

im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03582-6

*Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni  
przeraża mnie.*

Pascal, *Myśli*, 206  
(przeł. T. Boy-Żeleński)



Dwudziestego szóstego mój ojciec już o drugiej nad ranem pojechał do pewnego nauczyciela z Salli, którego zastał w agonii, a opuścił natychmiast po jego śmierci, by udać się dalej w kierunku Hüllbergu, gdzie chciał zbadać dziecko, które wiosną wpadło do wypełnionego wrzątkiem koryta dla świń i teraz już od wielu tygodni, wypisane ze szpitala, jest znów w domu z rodzicami. Lubił chodzić do tego dziecka, nie omijał żadnej okazji, żeby je odwiedzić. Rodzice byli prostymi ludźmi, ojciec pracował jako górnik w Köflach, matka w gospodarstwie rzeźnika w Voitsberg, dziecko jednak nie pozostawało całymi dniami samo, lecz pod opieką siostry matki. Tego dnia mój ojciec opisał dziecko tak dokładnie, jak nigdy dotąd, mówiąc, że obawia się, iż ma ono przed sobą niewiele życia. Bez cienia wątpliwości twierdził, że dziecko nie przeżyje zimy, będzie je więc od tej pory odwiedzał jak najczęściej. Zwróciłem uwagę, że ojciec mówi o tym dziecku jak o ukochanym człowieku, bardzo spokojnie, i nie musi zastanawiać się nad słowami; na okazanie oczywistej sympatii do dziecka pozwolił sobie, gdy napomknął, w jakim ono

wzrasta środowisku, i że rodzice w mniejszym stopniu je wychowują, w większym zaś chronią, oraz gdy swoje przypuszczenia odnośnie do rodziców i ich stosunku do dziecka uzupełnił i wyjaśnił, wykazując się wiedzą o środowisku opisywanych osób. Chodził przy tym po pokoju tam i z powrotem i już wkrótce przestał odczuwać jakąkolwiek potrzebę, żeby się położyć.

Obecnie, kiedy drugi lekarz przyjął ofertę zatrudnienia na uniwersytecie w Grazu i przeprowadził się do stolicy landu, ojciec został jedynym doktorem na stosunkowo dużym, a poza tym „trudnym” obszarze. Widoki na nowego lekarza są znikome. Otwieranie tutaj praktyki graniczy z szaleństwem. Ojciec jednak przywykł już do tego, że stał się ofiarą na wskroś chorej ludności, skłonnej zarówno do okrucieństw, jak i do obłądu. Kiedy spędzam weekend w domu, ojciec odczuwa to jako coś, co przynosi mu coraz bardziej potrzebne uspokojenie. Sprawia wrażenie zmęczonego. Gdy jednak po otwarciu przeze mnie okiennic oślepiła nas rzeka Ache, uznał, że powinniśmy wybrać się na spacer. „Chodź ze mną”, powiedział, „chodź”. Podczas gdy się ubierałem, rozprawiał o pewnym „fenomenie natury”, o kasztanowcu, który zakwitł właśnie teraz, pod koniec września, a który on odkrył za osadą, nad Ache. Przy tej okazji chciał wreszcie ze mną porozmawiać, prawdopodobnie, pomyślałem, o czymś, co ma związek z moimi studiami w Leoben, o górnictwie i hutnictwie. Ma na to czas właśnie teraz, bo później będzie musiał przez cały dzień wizytować pacjentów. „Wiesz”, powiedział, „często mnie to wszystko przerasta”.



Nie chcieliśmy budzić siostry, zesłaliśmy więc jak najciszej do przedsiönka, gdzie wisiały nasze płaszcze. Kiedy jednak, już ubrani, zamierzaliśmy wyjść z domu, zadzwonił dzwonek i w drzwiach stanął nieznany mi człowiek, jak się okazało, właściciel gospody z Gradenbergu, który poprosił ojca, żeby natychmiast się tam z nim udał.

Zamiast więc pójść nad Ache i rozmówić się ze sobą, pojechaliśmy jego autem do Gradenbergu, i nie było już więcej mowy o kwitjącym kasztanowcu, usłyszeliśmy za to bardzo niepokojące rzeczy o żonie oberżysty.

Opowiadał, że do drugiej w nocy obsługiwała górników, którzy, już od kilku godzin pijani, siedzieli naprzeciw siebie, tworząc dwa wrogie obozy, i że nagle, zupełnie bez powodu, została uderzona przez jednego z nich w głowę i w tym samym momencie na ich oczach padła bez przytomności na podłogę. Przerażeni górnicy wnieśli ją natychmiast do sypialni znajdującej się na pierwszym piętrze gospody, przy czym po drodze głowa kobiety obijała się o poręcz schodów. Górnicy położyli żonę oberżysty do łóżka, a jej mężowi, który gdy popchnęli drzwi sypialni, obudził się, po czym wstał oszołomiony i wysłuchał ich relacji o całym zajściu, zasugerowali, żeby natychmiast, jeszcze w nocy, złożył na żandarmerii doniesienie na brutalnego sprawcę tego czynu, Gröbbla, znanego im wszystkim, choć tylko z widzenia. Żandarmi, również ten na służbie, powiedział oberżysta, spali jak zabici, wreszcie jednak, po tym jak zaczął rzucać kamieniami w okna posterunku, udało mu się wyjednać posłucha-

nie i wpuszczenie do środka. Początkowo żandarmi radzili mu, żeby przyszedł *przed południem* i dopiero wtedy złożył zeznania do protokołu, on jednak uparł się przy sporządzeniu go natychmiast i zażądał, aby przynajmniej jeden z żandarmów poszedł z nim do gospody, gdzie leży jego nieprzytomna żona i gdzie czekają górnicy, którzy, jego zdaniem, tak samo niezwłocznie powinni złożyć zeznania. Zanim jednak z dwoma żandarmami wrócił do gospody, minęło już zbyt dużo czasu, okazało się bowiem, gdy weszli razem z nim do sypialni, że górnicy, z wyjątkiem jednego, już sobie poszli. Oberżysta od razu pomyślał, że ani na chwilę nie powinien był zostawiać żony samej, gdy teraz nagle, targany najokrutniejszymi przypuszczeniami i podejrzeniami, musiał stanąć przed nią wraz z towarzyszącym jej przez cały czas górnikiem Koligiem, którego jednak nie znał bliżej, tylko z nieregularnych wizyt w gospodzie, i który nie uchodził za tutejszego, w sensie człowieka godnego zaufania, a poza tym mówił styryjskim dialektem, nieprzyjemnie różniącym się od dialektu używanego w tej okolicy.

Mimo iż Kolig, który wytrwał przy żonie oberżysty, był tak pijany, że wprawdzie umiał stanąć prosto, ale nie potrafił sklecić najprostszego zdania, młodszy z żandarmów i tak niezwłocznie go przesłuchał, każąc mu natychmiast usiąść na jednym ze stojących w rogu krzesel, starszy z nich dwóch natomiast zrobił leżącej w łóżku kobiecie zdjęcie, jakby już nie żyła. Wszystko, co przesłuchiwany Kolig podał do protokołu, było zu-

pełnie nieprzydatne, a kiedy pojawiła się groźba, że nie wytrzyma w pozycji siedzącej, zaraz się gibnie i spadnie z krzesła, niezadowolony z niego żandarm złapał go, pociągnął i wypchnął na korytarz.

Zbiegły Gröbl jest człowiekiem, który gdy tylko wejdzie do gospody, siedzi w niej tak długo, póki z całą pewnością nie popadnie w konflikt z prawem. Nie będzie trudno go odnaleźć, powiedzieli żandarmi, a biorąc pod uwagę jego wcześniejsze podobne postęпки, mówili o karze kilkuletniego więzienia, gdyż Gröbl, uderzając żonę oberżysty pięścią w głowę, doprowadził ją do utraty przytomności, a w rezultacie do ciężkiego uszkodzenia ciała. Ledwie starszy żandarm napomknął o ciężkim uszkodzeniu ciała, wszyscy uświadomili sobie, że należałoby powiadomić lekarza. „Tymczasem upłynęło kilka godzin”, powiedział oberżysta.

Było już w pół do piątej, kiedy przybywszy do Gradenbergu, zostaliśmy natychmiast zaprowadzeni przez oberżystę do sypialni, gdzie czuwali obaj żandarmi. Ojciec kazał wszystkim mężczyznom wyjść na korytarz. Podczas gdy badał kobietę, która, choć widziałem ją tylko przez chwilę, zrobiła na mnie wrażenie martwej, na korytarzu obaj żandarmi dzielili się ze mną niepochlebnymi uwagami o leżącym na podłodze Koligu, nazywając go tępakiem, mającym coraz mniej skrupułów wobec swojej sześcioosobowej rodziny. Nie wiedzieli, co z nim zrobić; kiedy ojciec wyszedł z sypialni, akurat trzymając Koliga za ramiona marynarki, ściągali go ze schodów, których połowę zajęły jego nogi, a później przestali się nim zajmować.

Kobieta rzeczywiście odniosła ciężkie obrażenia, natychmiast więc musi znaleźć się w szpitalu w Köflach; niech żandarmi zniosą ją ostrożnie i ułożą na platformie pikapa, powiedział ojciec.

Pokój, z którego żandarmi wynieśli żonę oberżysty, był wilgotny, w zielonobrazowe wzorki, wypełniony meblami z lekkiego drewna i ponury nawet przy najjaśniejszym świetle dziennym. Ojciec spojrzął na mnie, potem gdzieś w bok, a następnie powiódł wzrokiem za żandarmami, którzy schodząc po schodach, ostrożnie znosili kobietę, ja zaś pomyślałem, że nie oznacza to dla niej niczego dobrego.

Podczas gdy ja zająłem w samochodzie miejsce obok kierującego nim oberżysty, ojciec usiadł za nami, przy chorej ułożonej na tylnym siedzeniu.

Przez całą drogę na skrót przez Krennhof oberżysta i ja nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Ze względu na wczesną porę jechało się łatwo i szybko. Już dawno nie byłem w tej okolicy, pomyślałem, musiałem cofnąć się myślą aż do najwcześniejszych lat dzieciennych, żeby zobaczyć siebie tu czy tam nad potokiem Gradner. Uświadomiłem sobie, że ojciec rzadko zabiera mnie ze sobą na swoje wyprawy i że od śmierci matki jestem zawsze zdany wyłącznie na siebie. Moja siostra, traktowana tak samo, odczuwa to zapewne o wiele boleśniej.

Stosownie do nastroju i w odróżnieniu od wcześniejszej sytuacji, kiedy w drodze do Gradenbergu oberżysta tyle mówił, teraz, jadąc do Köflach, nie odezwał się słowem. Mnie zagadnięcie go wydawało się również bez sensu. Jeśli dobrze zrozumiałem ojca, było pewne,

że kobieta nie przetrzyma drogi do Köflach, ale gdy pielęgniarze wysunęli ją z samochodu, nadal żyła, umarła jednak w trakcie naszego pobytu w szpitalu. Zanim jeszcze wniesiono ją do jedynej w tym szpitalu pokoju operacyjnego, bo nawet niepodobna tu mówić o sali operacyjnej, umarła, co jej mąż poczuł, bo podczas gdy pielęgniarze wieźli ją przez korytarz, trzymał żonę za rękę i płakał. Nie pozwolono mu zostać przy zmarłej, tylko wyprowadzono go na dziedziniec, gdzie, zostawiony samemu sobie, musiał pół godziny czekać na mojego ojca. Nie zakłócałem jego samotności i przyglądałem mu się, ale tak, żeby tego nie widział. Potem wrócił ojciec i zaczął przechadzać się z oberżystą po dziedzińcu, starając się go uspokoić. Mówił mu o koniecznych teraz do załatwienia sprawach, o formalnościach pogrzebowych, komisji sądowej, o złożeniu na Größla doniesienia z powodu popełnionego morderstwa. Dla oberżysty będzie teraz lepiej, powiedział ojciec, jeśli zostanie wśród ludzi, nie zasklepi się w swojej udręce, nie ucieknie w nią, on, mój ojciec, oszczędzi mu różnych urzędowych dróg, jak tej do sądu, inne zaś, choćby tę najpierwszą – do leżącej w prosektorium żony, przejdzie wspólnie z nim dla uśmierzenia jego bólu. Powiedział, że stwierdził u zmarłej śmiertelny w każdym wypadku wylew krwi do mózgu, ale jeszcze wczesnym przedpołudniem otrzyma dokładne orzeczenie od okręgowego lekarza sądowego. To, że oberżysta dopiero po trzech godzinach od śmiertelnego uderzenia kobiety pięścią poinformował go, mojego ojca, o całym zajściu, jest bez znaczenia. I tak nie uda-

łoby się jej uratować. Zmarła wkroczyła w trzydziesty drugi rok życia, ojciec znał ją od wielu lat. Nigdy nie może oprzeć się wrażeniu, iż to niesłychana brutalność ze strony oberżystów, że sami, umordowani przez cały dzień rzeźnictwem, handlem bydłem, gospodarowaniem na roli, kładą się spać na ogół bardzo wcześnie, a żony, jako że u takich ludzi myśli krążą wyłącznie wokół interesów, zostawiają samym sobie w otwartych do świtu gospodach, wydając je na pastwę świata mężczyzn, którzy wskutek rosnącego nad ranem spożycia alkoholu stają się coraz bardziej grubiańscy i brutalni, powiedział ojciec, gdy na chwilę odłączyliśmy się od idącego z nami oberżysty, który, jak się zdawało, odchodził od zmysłów. „Te wszystkie przeciągające się do późna noc w gospodach źle się kończą”, powiedział ojciec, „a w tej okolicy w znacznym procencie śmiertelnie”. Ordynarni oberżyści, nierzadko wyłącznie po to, żeby wszelkimi możliwymi sposobami wyciągnąć pijusom pieniądze z kieszeni, a do ich spragnionych gardeł wtłoczyć jak najtańszą gorzałkę, w obrzydliwy sposób odkomenderowują do salek pełnych gości swoje bezradne żony, które musząc pracować do północy albo i całą noc, padają ofiarą zapijaczonych gości. Kiedy dogoniliśmy oberżystę, ojciec powiedział, że z odnalezieniem Größla nie będzie kłopotów. Żandarmeria została powiadomiona o morderstwie i żadna kryjówka Größlowi nie pomoże. Im dłużej jednak ojciec przekonywał tego człowieka, który jako handlarz bydłem przez obcowanie z nim, a także przez obcowanie ze światem oberżystów, będącym jego światem, w spo-

sób tak znamienny dla okolicy Bundscheck uosabiał brutalność samą w sobie, że aż wzruszało, kiedy płakał i był całkiem zagubiony, tym bardziej, rzecz jasna, wydawało mu się to bezsensowne, wobec czego udzielił oberżyscie, bardzo prosto i zrozumiale, pomyślałem, najkonieczniejszych wskazówek, po czym znów zostawiliśmy go samemu sobie.

Ojciec poszedł do prosektorium, żeby rozmówić się z lekarzem sądowym, a ja tymczasem, obserwując oberżystę, jak siada na ławce, jedynej na całym dziedzińcu szpitalnym, domyśliłem się, że młody pielęgniarz przewozi obok mnie na dwukołowym wózku prosekторыjnym zwłoki jego żony. Widok wózka prosekторыjnego nie był dla mnie niczym nowym, często bowiem w drodze do szkoły, która to droga prowadziła obok szpitala, aż do miejsca, gdzie między dwoma krzewami bzu można popatrzeć na prosektorium, przystawałem, aby przyglądać się wózkowi, który jeśli nie jest używany, dniem i nocą stoi obok wejścia do prosektorium, w szopie otwartej z tej właśnie strony, którą mogłem obserwować. Ten prosekторыjny wózek z blachy zawsze niezmiernie mnie fascynował i często pojawiał się w scenach z moich dziecięcych snów jako główny rekwizyt, budzący dreszcz grozy. Młody pielęgniarz, świeży absolwent szkoły, podjechał wózkiem pod wejście do prosektorium, skąd dobiegły mnie kroki ojca. Ojciec, pomyślałem, kiedyśmy wyszli ze szpitala i pośpiesznie oddalili się wzdłuż murów, aby nieszczęsny, siedzący nadal na ławce oberżysta nie mógł nas zobaczyć, więc ojciec tam, gdzie czuje się jak w domu, czyli

wśród chorych i w szpitalach, nie zachowuje się, co zawsze twierdzi się o stanie lekarskim, jak w olbrzymim, nieprzejrzyście urządzonej sklepie, lecz raczej – tak wydało mi się właśnie tego dnia – jak w coraz bardziej przejrzystej dziedzinie nauki. Zapewne, co zauważyłem raz po raz, jest wielu lekarzy, którzy, pomyślałem, chociaż z nich niezmiernie uczone głowy, są po prostu handlarzami, ludźmi mówiącymi i działającymi również jak handlarze; ale mój ojciec do nich nie należy.

Towarzystwo ojcu w pracy powoduje u mnie ciągle uczucie smutku, z tego też względu wzbrania się on na ogół zabierać mnie ze sobą na wizyty do chorych, zawsze bowiem, w każdym wypadku, okazuje się, że wszyscy, których musi odwiedzić, dotknąć i zbadać, są chorzy i smutni; niezależnie od tego, o co chodzi, ojciec porusza się nieustannie w chorym świecie wśród chorych ludzi, chorych jednostek; nawet jeśli ten świat udaje, stwarzając pozory zdrowia, to jednak ciągle jest chory, a ludzie, jednostki, również tak zwani zdrowi, też zawsze są chorzy. On do tego przywykł, mnie jednak może to niechybnie wprawić w stan wzburzenia, doprowadzić do szkodliwej zadumy; akurat ja, jego zdaniem, miałem zawsze skłonności do tego, żeby wszystko i wszyscy doprowadzali mnie do stanu zaburzenia umysłu i żeby, szkodząc sobie w ten sposób, popadał w zadumę nad wszystkim i wszystkimi. A moja siostra w jeszcze o wiele groźniejszym wymiarze. Błędem byłoby jednak, twierdził, zamykać się na fakt, że *wszystko jest chore* i smutne, powiedział: *rzeczywiście chore i smutne*, z tego też powodu raz po raz,



w dłuższych lub krótszych odstępach czasu, „kusi” go, by zabrać mnie lub moją siostrę ze sobą na wizyty do pacjentów. „To zawsze jest ryzyko”, powiedział. Najczęściej obawia się, że któreś z nas, moja siostra lub ja, na widok chorego lub objawów jego choroby, dozna na całe życie uszczerbku, choć przecież on, ojciec, akurat w odniesieniu do nas ma na względzie coś wręcz odwrotnego.

Weszliśmy do Köflach. Ojciec chciał pójść do banku i na pocztę, ale były jeszcze zamknięte, zabrał mnie więc do zaprzyjaźnionego z nim, odnoszącego sukcesy adwokata, specjalisty od nieruchomości, z którym studiował w Grazu i którego znam z jego wizyt u nas w lecie.

Ojciec miał nadzieję, że przyjaciel poczęstuje nas śniadaniem.

Zadzwoniliśmy, otwarto nam drzwi, po czym weszliśmy do mieszkania urządzonego jak na małe miasteczko z rozmachem, chociaż w szczegółach nie do końca gustownie, ale na pierwszy rzut oka przytulnego, w którym przede wszystkim zwracało uwagę mnóstwo miejsc do siedzenia. Przyjęła nas młoda żona adwokata i natychmiast zaprowadziła do jadalni. Jakiś czas później do pokoju wszedł sam mecenas. Ojciec powiedział, że ma niewiele czasu, bo zaraz musi wracać ze mną do domu. Podczas śniadania, na które zjawiliśmy się w samą porę i które było tak obfite, że tak obfitego jeszcze nigdy nie jadłem – mogłem też patrzeć w dół na ulicę i obserwować wszystko, co się na niej dzieje – rozmawialiśmy o zbrodni, której Größl dopuścił się na

żonie oberżysty. To straszne, powiedział ojciec, jak ludzie, jeśli nie mają zahamowań, atakują się wzajemnie przede wszystkim w gospodach, i to nie wiedzieć z jakiego powodu, gdyż, powiedział ojciec, również zbiegły Größl nie wie, dlaczego zabił żonę oberżysty. „Może”, powiedział ojciec, „on jeszcze w ogóle nie wie, że ją zabił”. Ludzie ze wsi, którzy najpierw ulegają zwyrodnieniu i stają się brutalami, a potem jeszcze są zupełnie bezbronni wobec tej swojej brutalności, ludzie, którzy ulegają wszelkim zwyrodnieniom, którzy *muszą* ulec wszelkim zwyrodnieniom, ci ludzie są dzisiaj w przerażającej większości.

Istotnie, na wsi jest więcej brutalni i zbrodniarzy niż w mieście. Brutalność, podobnie jak bestialstwo, to na wsi fundament. W mieście brutalność jest niczym w porównaniu z brutalnością na wsi, a bestialstwo w mieście niczym w porównaniu z bestialstwem na wsi. Zbrodnie w mieście, *miejskie* zbrodnie, są niczym w porównaniu ze zbrodniami na wsi, *wiejskimi* zbrodniami. Miejskie zbrodnie są śmieszne wobec zbrodni wiejskich. Ten oberżysta, powiedział ojciec, to urodzony brutal i zbrodniarz. Wszystko *na i w* tym człowieku jest brutalne i zbrodnicze. Handlarzem bydła, którym jest, jest w każdej chwili i we wszystkich sytuacjach swojego życia. „Chociaż teraz płacze”, powiedział ojciec, „to przecież płacze z powodu bydłęcia. Dla oberżysty żona była wyłącznie bydłęciami”. Pewnego dnia wyławia ją perwersyjnym chwytem ręki z nieprzebranego stada niezamężnych kobiet i podporządkowuje sobie. Taka gospoda, jak każda rzeźnia, handel

bydłem czy gospodarstwo rolne pod Bundscheck, to brutalna hodowla kobiet. Jeśli się dokładnie wsłuchać, można, kiedykolwiek i dokądkolwiek idzie się przez wieś, usłyszeć w różnych domach, jak mężowie biją żony. On, powiedział ojciec, chodzi dzień w dzień niemal wyłącznie do obrzydliwych ludzi; wkraczając do tych domów, wkracza w sam środek brutalności, w bestialstwo, ze swoją torbą lekarską porusza się w gruncie rzeczy wyłącznie w świecie zbrodniarzy. Ludzie spod Gleinalpe, spod Koralpe, z dolin Kainach i Gröbnitz to egzemplifikacje Styrii stworzonej po temu od milionów i tysięcy lat oraz nastawionej na najbrutalniejsze ekscesy cielesne. Potem jednak przypomniał sobie poranną wizytę u dziecka górnika z Hüllbergu i opisał, jak serdecznie go tam przyjęto, uspokajano przez kwadrans, a później równie serdecznie pożegnano. Ale błędem byłoby myśleć, stwierdził, że to, co powiedział o ludziach pokroju oberżysty, odnosi się jedynie do osób zamożnych; rodzice tego dziecka i ich dziecko to wyjątek, „biedacy są dwakroć tak brutalni, podli i zbrodniczy, właśnie oni, stosownie do swoich możliwości, w jeszcze straszliwszej mierze”, powiedział.

O nauczycielu, którego musiał odwiedzić jako pierwszego, nie mówił, jak mi się zdaje dlatego, że skończył mu tak szybko, iż ojciec właściwie tego nie zauważył. Myślałem, że już zapomniał o nauczycielu, kiedy bowiem jeszcze raz zaczął mówić o dziecku i jego oparzeniach, a także naśladować jego *sposób mówienia*, wrócił do oberżysty. Czekają na nas w szpitalu, powiedział ojciec, musi nas odwiedzić tym swoim pikapem do

Gradenbergu, a później do domu. Teraz jest już prawdopodobnie w prosektorium, dokąd ojciec chciał mu towarzyszyć, o czym potem jednak całkiem zapomniał, a ja pomyślałem, że w prosektorium oddają teraz oberżyscie ubrania zmarłej żony, i rzeczywiście, z węzełkiem pod pachą czekał na nas już u wejścia do szpitala, po tym jak my, wyszedłszy od adwokata, poszliśmy jeszcze na pocztę i do banku.

W drodze powrotnej do Gradenbergu ojciec wyliczył chorych, których musi odwiedzić tego dnia, wymienił nazwiska Saurau, Ebenhöh, Fochler, Krainer.

Podczas gdy mnie wyczerpały już same przeżycia spowodowane śmiercią żony oberżysty, po ojcu nie było widać ani śladu zmęczenia. Siedząc we dwóch obok prowadzącego auto oberżysty, który jechał tak spokojnie, jakby nie stało się nic strasznego, wyobrażaliśmy sobie obaj, każdy dla siebie, chorych, których należało odwiedzić, a gdy oberżysta, przeprasząc, zatrzymał się u pewnego rzeźnika za Krennhof, aby sfinalizować jakiś interes, i zniknął na kilka minut, ojciec powiedział, że ten człowiek, którego zna od jego najmłodszych lat, dziesięć lat temu jeszcze młodzieniec, a dzisiaj już tylko otłuszczający się coraz bardziej mężczyzna, odpychający, cierpiący na coraz większą ociężałość seksualną i poruszający się na dwóch nogach w kształcie litery „o”, wzbudza w nim nienawiść. Nie mniej odpychająca wydawała mu się również podczas każdej wizyty w Gradenbergu jego dopiero co zmarła żona. Bezdzielnosć wśród takich ludzi jak oboje oberżystów z Gradenbergu sprawia, że ich małżeństwa

coraz bardziej tracą sens, aż w końcu przeradzają się w najpodlejsze perwersyjne związki, tak że jeśli jakiś oszalały Größl nie rozłączy takich małżonków, pozostaje im w najnikczemniejszy sposób zmarnieć.

Na ostatnim odcinku drogi musieliśmy nad potokiem Gradner wyminąć stado bydła, a wtedy oberżysta powtórzył kilka razy, że ciągle nie może pojąć tego, co się stało. W ogóle nie potrafi wyobrazić sobie rzeczywistości.

Po przyjeździe do Gradenbergu ujrzeliśmy wielu ludzi przed gospodą, do której całkiem niedawno wkroczyła komisja sądowa. Gdy wysiadłem z pikapa, dostrzegłem wyzierającą zewsząd gawieź, w bliższej i w dalszej odległości.

Ojciec kazał mi poczekać przed gospodą, a sam szybko wszedł do środka rozmówić się z komisją, która zgromadziła się w sali jadalnej. Gospodę od góry do dołu wypełniali mamroczący coś bez przerwy urzędnicy, na pierwszym zaś piętrze, w otwartym oknie, w oknie sypialni, dostrzegłem, spojrzawszy w górę, głowy dwóch żandarmów. Przechadzałem się tam i z powrotem przed gospodą, aż wreszcie ojciec wyszedł z oberżystą, który odwiózł nas do domu. W sali jadalnej znajdowali się oprócz Koliga wszyscy górnicy będący świadkami zabójstwa. Była sobota, kopalnia zamknięta. Większość w ogóle nie mogła sobie przypomnieć tego zajścia, wszyscy składali sprzeczne zeznania, ale dwóch z nich *widziało*, jak Größl uderzeniem powalił żonę oberżysty na ziemię, to im wystarczyło. Tymczasem, w co mój ojciec nie mógł uwierzyć,

Größl nadal nie został schwytany, prawdopodobnie ukrywa się w najbliższej okolicy; nikt nie podejrzewał go o ucieczkę w siną dal, chociaż ma tyle pieniędzy, że bez problemów mógłby uciec nawet za granicę. W domu natychmiast przesiedliśmy się do swojego auta. „Pojedziemy do Stiwoll”, powiedział ojciec.

Droga do Graden pod Kainach była, również ze względu na Größla, zamknięta, ale ponieważ nas znano, pozwolono nam przejechać. Taki przypadek, jak przypadek Größla, to oczywiście sensacja, która nagle obiegła całą okolicę, na wszystkich morderstwo popełnione na żonie oberżysty wywarło silne wrażenie, wiadomość szybko dotarła do posterunków żandarmerii, co zauważyliśmy szczególnie w Afling, gdzie zatrzymaliśmy się u mojego wuja. Ojciec zabrał ze sobą lekarstwa dla wujenki. Weszliśmy do domu i zaczęliśmy nawoływać, zajrzeliśmy do pokoiów na dole, potem do kuchni, stwierdziliśmy jednak, że w otwartym domu nie ma żywego ducha. Ojciec położył lekarstwa na kredensie w kuchni, napisał kartkę, po czym wyszliśmy.

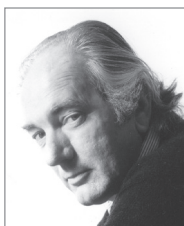
Ojciec, jak powiedział, był z moją matką w Afling rok przed jej śmiercią na pogrzebie jednego z kolegów ze studiów, i ona wtedy ciągle mówiła o swojej śmierci, która miała niebawem nastąpić. Podczas kiedy *on* nie odkrył jeszcze u niej ani jednej oznaki śmiertelnej choroby, *ona* już wówczas, co zrozumiał dopiero o wiele później, była *przeniknięta* tą swoją śmiertelną chorobą. Po powrocie z pogrzebu w Afling można było u niej stwierdzić zmianę całkiem zagadkową dla niego jako lekarza – pogłębiającą się melancholię, która coraz

bardziej rozpościerała się nad nami wszystkimi. Ojciec pamięta każde poszczególne słowo matki, widzi drogę, którą chadzali przed pogrzebem i po nim, była to ta sama pora roku, koniec września, wszystko, co miało jakikolwiek związek z pogrzebem w Afling, widział tak dokładnie, jak jeszcze nigdy. Zwłaszcza w jasne dni, kiedy świat, gdziekolwiek spojrzeć, wydaje się przejrzysty niczym powietrze i tylko spokój zdradza, że właściwie mamy do czynienia z piękną naturą, smutek osób pozostałych po dawno już zmarłym człowieku jest dwakroć silniejszy.

Są to bowiem ciągle takie same kolory, jak oglądane teraz wzdłuż potoku Söding, uwydatniające się przez ostry kąt padania słońca, w których to kolorach już dostrzegamy dojrzałą jesień, i zawsze fascynuje nas powstały za sprawą intensywnej obserwacji pogład na odbicie natury w sobie samej.

To, co istotne w człowieku, uwidacznia się dopiero w chwili, kiedy musimy uznać go za straconego dla siebie, w chwili, gdy ów człowiek już się z nami żegna. Naraz można go we wszystkim, co w nim jest wyłącznie przygotowaniem na *ostateczną* śmierć, rozpoznać poprzez jego prawdę.

W trakcie jazdy przez dolinę Söding ojciec mówił o mojej matce, która coraz bardziej i bardziej zajmuje go w snach na jawie, nie w nocy, i regularnie przynosi mu na dłuższy czas ukojenie, potem bowiem on odrywa się od swojej działalności lekarskiej, kierując aktywność na zewnątrz, dzięki czemu jest zdolny do jasnego widzenia zdarzeń naturalnych.



Narratorem **Zaburzenia**, wczesnej powieści Thomasa Bernharda (1931–1989), jest dorosły syn wiejskiego lekarza. Pewnego dnia towarzyszy ojcu podczas rutynowego objazdu pacjentów mieszkających w górskiej dolinie. Odwiedzają schorowanych ludzi, wyniszczonych cierpieniem przeżywanym w osamotnieniu i biedzie. Trafiają wreszcie na zamek Hochgobernitz do księcia Saurau, który wygłasza długi i z czasem coraz bardziej szalony monolog. Wizyty u chorych skłaniają narratora do bliższego przyjrzenia się relacjom w swojej najbliższej rodzinie – między ojcem, siostrą, przedwcześnie zmarłą matką i nim samym.

**Thomas Bernhard**, austriacki mistrz prozy i dramatu XX wieku, kreuje niemal hipnotyczną opowieść o alienacji, samotności i zaburzonych więziach rodzinnych, których źródłami są: zakłamaną mentalność, nazistowskie dziedzictwo, wynaturzenia państwowych systemów oraz mroczna przyroda. *Zaburzenie* jest dziełem wyrafinowanym stylistycznie i niekiedy druzgocącym, ale jednocześnie oferującym czytelnikom fascynującą lekturę.

